

KOMITET ZJEDNOCZENIA GÓRNEGO ŚLĄSKA
Z RZECZĄPOSPOLITĄ POLSKĄ

Jakto Prusacy nagrodzili za służbę Ślązaka

Prawdziwa historia męczennika
śląskiego Chrószcza

Opowiedział ROMAN ROLA

1920

CZCIONKAMI KAROLA MIARKI W MIKOŁOWIE



92105

323.1(438)(091):92

„Zbiory Śląskie”

102 76 51

W końcu zeszłego wieku był na Górnym Śląsku, w Rybnickiem, robotnik nazwiskiem Chrószcz. W młodości do wojska wzięli go Niemcy. Oblekli go w mundur pruski, umieścili w koszarach dalekiego, obcego miasta, gdzie mowy ojczystej nie słyszał, i naganiali do egzecyrki, by zrobić z niego dzielnego obrońcę ojczyzny Bismarcka i innych wrogów Kościoła katolickiego i Polski. Naturalnie podoficerzy i feldweble prawili mu dużo o wielkości, świetności i doskonałości domu królewskiego i Prus, tak, iż młody Chrószcz mniemał, że służy zacnemu monarsze i jak najlepszej sprawie.

Sprawował się też dobrze, żołnierzem okazał się posłusznym, a że w koszarach wyczył się jako tako po niemiecku, przeto o pochodzeniu swem polskim wśród obcych nieco zapomniał i jako człowiek prostego ducha wierzył święcie we wszystko, co mu feldwebel w mózg nakładł, więc namówiono go snadnie do „kapitulowania“ czyli do pozostania w służbie wojskowej przez dłuższy szereg lat. We wojsku nie potrzebował się kłopotać o chleb codzienny, a było to także przecieź w jego rozumieniu niemalym zaszczytem nosić „mundur królewski!“ Tak tedy Chrószcz został pod-

oficerem, jak mówiono, „najświetniejszej armii na świecie“, wyrosł na postrach rekrutów, ćwiczył ich jak służyć monarsze, jak walczyć i umierać „za króla i ojczyznę“ nie — swoją.

Z czasem Chrószcz byłby został feldweblem, lecz podczas manewrów złamał nogę, która mu się jakoś źle zrosła, i tak do dalszej żołnierki stał się niezdolnym. Więc kiepsko na tej żołnierce wyszedł, bo po jedenastu latach służby, zdjawszy z siebie mundur jako półinwalida, musiał życie poczynąć od nowa i o zarobkowaniu, od którego odwykł, pomyśleć. Cóż ze sobą miał począć?

Powrócił w rodzinne swe strony, do Dolnych Rydułtów, ze skromniutką pensyjką półinwalidy. Inny sierżant, Niemiec z krwi i kości, byłby może dostał posadę jaką, przy więzieniu lub zakładzie innym państwowym, ale Ślązaka pozbyła się armja łatwo, zbyła go byle czem i puściła. Z miernej pensyjki utrzymać się nie mogąc, Chrószcz otworzył przy głównej drodze w Rydułtowach kramik, i sprzedając naftę, cygara, zapalki itp., pędził ciche dni, zbierając powoli i oszczędnie grosze.

Odmawiając sobie wielu rzeczy, składał grosz do grosza, bo w głębi duszy jego żyło gorące pragnienie własnego kawałka ziemi. Najwyższem szczęściem wydawało się Chrószczowi posiadać kawałek tej ukochanej ziemi górnośląskiej, co go wyżywiła, tej dobrej karmicielki.

I serdecznemu życzeniu jego stało się nareszcie zadość. Gdy poznański Bank Parcelacyjny nabył wielki majątek Pszowski od hrabiego niemieckiego i począł go parcelować między chłopów, Chrószcz kupił sobie dziewięć morgów, wpłaciwszy tysiąc kilkaset marek. Wziął na siebie ciężar niemały, bo morgę ziemi liczone po tysiąc marek ze względu na to, że parcela ta przy szosie z Pszowa do Rydułtów położona, przeznaczona była na budowliska, lecz pracowity Chrószcz, choć nieco kulawy, zabrał się do pracy rolnej z wielkim zapalem. Ledwo kogut zapiał, już uwijał się po swej ziemi; zdało się, że sił mu przybywa i za dwóch roboty dokonać potrafi.

Nie jeden gospodarz z okolicy zdumiał, gdy pewnego razu na przydrożnej roli ujrzał ładną stodółkę a opodał niej rzędy drzewek owocowych, piękne obiecujących owoce. Rodziło się nowe gospodarstwo, wyrastało jakby z ziemi, wielką radością napelniając serce Chrószcza. Przyłgnał on do tej ziemi swej całą istotą swoją, pokochał ją jak matkę, i gdy go kto o gospodarstwo zagadnął, twarz mu się śmiała. Było ono jego dumą, jego szczęściem i światem całym.

O domku dla siebie nie myślał zrazu. Mniejsza o chałupę, gospodarstwo pierwsze, więc najpierw stanęła stodółka; w niej wykopał jamę, z piecem do gotowania. Tam warzył

sobie strawę, tam wieczorem kładł się na spoczynek z wiernym psem przy boku.

W r. 1904 latem ludzie poczęli przebąkiwać a potem opowiadać głośno o nowej ustawie w Berlinie przeciw Polakom uchwalonej, według której miało być niedozwolonem budowanie nowych osad w pruskich prowincjach przez Polaków zamieszkających bez wyraźnego pozwolenia władzy policyjnej. Z tego wynikało — zapewniali światli ludzie — że tobie, Polaku, zabroniono wznosić na nabytej parceli jakichkolwiek budynków mieszkalnych, gdyż budynek taki to tyle co nowa osada. Zaś na prośbę o pozwolenie budowania policja odpowie Polakowi: Nie wolno!

Chrószcz słuchał co ludzie gadali, lecz nie mówił. Uśmiechał się tylko i głową kiwał niedowierzająco, gdyż wydawało mu się to wielkiem i potwornem głupstwem, o którem wcale gadać nie warto. Tylko bezrozumni ludzie mogli powtarzać takie plotki — tak sądził — to żadną miarą nie mogło mu się w głowie pomieścić, aby w tym Berlinie, w tej stolicy Prus i Niemiec, skąd — jak zapewniali wszyscy Prusacy — nic jeno same dobrodziejstwa płyną na lud, mieli ukuć Prusacy takie prawo haniebne i niehumanitarne. Toć pies jego mógł bez pozwolenia policji mieć swoją budę, a człowiek nie mógłby wznieść sobie chaty na swej własnej ziemi za swe własne, uczciwie zapracowane pieniądze?

Uśmiechał się Chrószcz, dziwując nad głupotą ludzi, powtarzających takie brednie, ale wnet przekonał się, że to co wydało mu się zgoła nieprawdopodobnem i niemożliwem, było smutną prawdą. Bo sąsiedzi jego, właściciele parceli, zaniechali budowania domów. Aby zorać i obsiać swój grunt, musieli chodzić lub jeździć z Rydułtów, z Pszowa lub dalszych wsi codzień, tracić czas i zdrowie, marnować konie, a gdy przyszły żniwa, bardzo daleko wozić plony pod dach. Taka to była smutna gospodarka!

Patrząc na to, Chrószcz nie uśmiechał się już, lecz drapał po głowie frasobliwie i cłmu-rzył się, bo zakradło się do niego przypuszczenie, że z owego świetnego Berlina nie same dobrodziejstwa płyną na lud polski. Poczynał rozumieć, że w owej stolicy królów pruskich wyrządzono owemu ludowi jakąś krzywdę okropną... I że na niego samego naciera jakaś wroga potęga...

I to długo nie mogło pomieścić się w twardej głowie Chrószczu, w której wpojono głęboką wiarę w dobroć i doskonałość rządów pruskich. Sam uczciwy i sprawiedliwy, nie mógł pojąć, aby ów rząd pruski miał źle życzyć niektórym obywatelom kraju i krzywdzić i ścigać ich jakby z pod praw Boskich i ludzkich wyjętych złoczyńców. A gdy wreszcie zrozumiał, że Prusak ślubował zagładę Polakom, że wysiłał się, by go zniszczyć i wytępić

jak szkodliwe i wstrętne mrowie — zabolął w duszy nad podłością tych, którym przez lat jedenaście służył z ufnością i oddaniem. Służył wrogom swych braci, wrogom swoim!...

Ale nie! To niepodobno, by to prawo przeciwko osadnictwu polskiemu miało się odnosić także do niego, — tak myślał były sierżant pruski i odpędzał od siebie frasunek, mówiąc sobie:

„Mnie król pruski chyba krzywdy uczynić nie pozwoli“.

Niech tam w okolicy dzieje się co chce, niech ludzie cierpią niewinnie pod obuchem tego nikczemnego prawa, jeśli tak być musi. Nic on im na to nie pomoże. Ale on — sierżant — stanowi wyjątek. Jego sługę królewskiego, nikt nie odważy się prześladować.

Stracił wiarę w sprawiedliwość i uczciwość rządu i narodu niemieckiego, lecz ufał niezachwianie, że nic złego nie spotka człowieka, który przez lat jedenaście służył królowi i tak składał dowody swych wierno-poddańczych uczuć. Nie troszcząc się o nic, na losy sąsiadów zamykając oczy, wykończył stodółkę i starając się o pozwolenie na budowę domku mieszkalnego, gnieździł się nadal w sąsieku. I po ciężkiej, całodziennej pracy kładł się do spania, dziękując Bogu za ten swój kawałek ukochanej ziemi.

Tymczasem nieszczęście zbliżało się do niego jakby wilk. Że na coś się zanosi, tego

Chrószcz mógł być domyślić się, bo żandarm niekiedy zaglądał do niego, niby to na pogawędkę, a w rzeczywistości na to, aby obejrzyć u niego mieszkanie. Aż pewnego razu nakazano mu wyrzucić piec z jamy w stodole, a gdy tego nie uczynił, zjawił się u niego żandarm z nakazem karnym.

Za cóż to miał Chrószcz płacić karę? Za to, że mieszkał na swym gruncie, za swe legowisko w stodółce, za swój piecyk w jamiel. Gdy pismo to odczytał, zakipiała w nim krew żołnierska i w piersi Ślązaka podniósł się ogromny bunt przeciw haniebnemu bezprawiu, ubranemu w pozory prawa. Czuł gniew przez chwilę, lecz ochłonął, bo uspokoiło go przypuszczenie, że skoro otrzyma pozwolenie na budowę domku mieszkalnego, kary tej nikt od niego pobierać nie będzie. A pozwolenie to otrzyma z pewnością — on, były sierżant, sługa króla pruskiego.

Lecz pozwolenie to nie nadchodziło a tymczasem dobrodziejstwa pruskie w postaci nakazów karnych spadały na niego jeden po drugim. Cóż to miało znaczyć? Czyż policja w Pszowie nie wiedziała, kim był Chrószcz? Udał się tedy do policji i wyłożył jej, że on nie pierwszy lepszy nabywca parceli, lecz były sierżant armji niemieckiej, którego nie godzi się ścigać karami.

Ale amtowy rzekł mu na to:

— Na ja, mein lieber Chroszcz. Wiem, że

byłeś sierżantem, ale... kupiłeś ziemię od polskiego Banku Parcelacyjnego.

— A czy to grzech? Czy to nie wolno kupować ziemi od polskiego banku? — spytał Chrószcz.

Amtowy nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Bo jeśli polskiemu bankowi wolno sprzedawać ziemię, to dlaczego ma być grzechem kupowanie od niego ziemi? I dlaczego nie miałyby być wolno polskiemu bankowi parcelować gruntów?

Plótl amtowy trzy po trzy, bo nic rozsądnego powiedzieć nie umiał, a wkońcu rzekł:

— Takie jest prawo. Mieszkać tam wam nie wolno. Ani w sąsiedztwie ani nigdzie. Piecyk rozebrać trzeba i wynieść się...

Tak Niemcy wypędzali go z jego własnego kawałka ziemi, z jamy w stodole.

Słowa urzędnika brzmiały w duszy Chrószcza jakby najsurowszy wyrok na skazańca. Nic już nie odrzekł, zapłacił co kazali i poszedł z goryczą w duszy. Odtąd stał się milczący, mrukliwy, posępny, świat wydał mu się pochmurnym, ludzie podłymi. Ból jakiś nosił w piersi, oburzenie i zaciętość kamienną. Tak chodził po gospodarstwie, dla psa nawet nie mając uśmiechu, niby ten sam co dawniej, a jednak inny.

Prusacy zatruli duszę Ślązakowi.

Nie skarżył się, nie biadał przed nikim,

ale gdy raz spotkał przechodzącego żandarma, poczerwieniał i pieść podnosząc, rzekł mu:

— A żebyś mi się już więcej na oczy nie pokazywał!

Nie wyniósł się ze stodółki, nie opuścił swej ziemi, bo poprostu nie mógł. Przyłgnał do niej, do tej ziemi swej i do swej stodółki i jamy, i do swych drzewek owocowych, a więc do całej swej włożonej w gospodarstwo pracy, przyłgnał swą duszą i istotą tak, jak do życia, i zdało mu się, że gdyby zamieszkał gdzieindziej, jednocześnie porzuciłby swe gospodarstwo, osierocił je, wydał na pastwę wypadku, i sam, obrabowany ze wszystkiego, przestałby istnieć. Pokochał on tę swoją ziemię górnośląską zanadto, aby miał tracić ją z oka, chociażby na noc, — na rozkaz bezecnego i głupiego prawa pruskiego.

Więc nie ugiął głowy przed tem łajdactwem pruskiem; uragał „prawu“, które uragało uczciwości i sprawiedliwości; stał się hardym i opornym.

Pozostał na roli skupiony w sobie, zawzięty, niezłomny jak żołnierz na niebezpiecznym i straconym posterunku, chociaż czuł, że wisi nad nim ogromna, wroga, nieublagana potęga, że godzą w niego drapieżne, okrutne pazury wilka niemieckiego, zawsze czyhające na zagładę Polaka, zawsze chciwe jego zguby.

Niech spotka go co Bóg da; dość było mu odczuwać, że po jego stronie jest sprawiedli-

wość, że stał się on jej wyrazem i stawia czoło wołającej o pomstę do nieba niesprawiedliwości, która pastwiła się nad ludem polskim bezkarnie.

Mocny jak skała w tem poczuciu, nie zawahał się, nie stehórzył ten mocny chłop górnośląski w obliczu lajdackich piekielnych mocy pruskich. I paliła się w nim odraza do wszystkiego, co pruskie i nienawiść imienia pruskiego, tem większa dlatego właśnie, że z taką ufnością i takim oddaniem służył królowi tego narodu. Jeżeli ten król podpisał to prawo ukute na krzywdę Polaków, to zasługiwał na to, by wyparł go się każdy uczciwy człowiek. Jeżeli ostrzem tego „prawa“ mierzył nawet w swego sierżanta, w swego wiernego sługę, to był najnikczemniejszym z Prusaków, którego kara ciężka za to nie minie...

Tak niekiedy wieczorem po pracy rozmyślał Chrószcz, siedząc na ławeczce z desek, i kipiało w nim oburzenie.

Raczej umrzeć, niż paść na kolana przed niesprawiedliwością, przed podłym Prusakiem!

Tak prześladowany Chrószcz wziął niejako w duszę wszystkie okropne krzywdy, i smutki prześladowanego ludu polskiego, i w sercu wypowiedział wojnę wrogom swego narodu i swego kościoła.

I pewnego dnia nastąpiło spotkanie dwóch mocy. Gdy Chrószcz orał swą ziemię, ujrzał na drodze od Pszowa idącego żandarma, któ-

remu towarzyszył jakiś robotnik. Obecność tego człowieka przy boku żandarma zastanowiła Chrószcza. Domyślił się, że mieli oni złeczenie, by rozebrać piecyk jego w sąsieku, ów piecyk, który był ciężką obrazą „prawa!”

Poniechał zaraz pług i poszedł do stodółki.

Skoro żandarm z robotnikiem zbliżył się do sadu wyszedł naprzeciwko niego Chrószcz i spytał, z czem przychodzi.

Żandarm, popatrzawszy nań z podełba, wydobył z zanadru papier urzędowy i tłómaczył, co go sprowadziło. Istotnie chodziło o piecyk w jamie, o mieszkanie.

Mówił łagodnym głosem wbrew swemu zwyczajowi, bo przerażała go stanowcza postawa Chrószcza.

Wysłuchawszy go, Chrószcz rzekł:

— Nikt nie ma prawa burzyć i niszczyć tego, co ja sobie zbudowałem na własnej ziemi...

— Takie jest prawo... — odparł żandarm.

— To ja takiego barbarzyńskiego prawa nie uznaję i nie uznam, bo to prawo rabusiów, złoczyńców, Prusaków...

Żandarm począł coś belkotać, lecz Chrószcz widząc, że robotnik na znak przez żandarma dany zbliżył się do stodółki, krzyknął gromko niby na rekrutów:

— Precz stąd! Wynoście się natychmiast!

Robotnik czując, że to nie żarty, cofnął się. A Chrószcz zwrócił się do żandarma:

— Jeśli w tej chwili nie odejdziesz, będziesz miał ze mną do czynienia.

Żandarm położył dłoń na swym rewolwerze i nakazał robotnikowi, by niezwłocznie w stodole piec rozbił i rozwalił.

Ale w tej chwili, gdy mularz piec w jamie w stodole rozbijał i rozwalał, Chrószcz dopadł swej dubeltówki.

Żandarm zaś chciał rzucić się na niego i odebrać mu broń, lecz omylił się, licząc na powolność ruchów Chrószcza. Bo Chrószcz odskoczył nieco w tył, i nim żandarm się spostrzegł, wycelował i strzelił dwa razy.

Huk strzałów rozległ się po roli.

Pacholek króla pruskiego padł i zacichł, trupem był żandarm.

A robotnik znikł gdzieś czemprowadzej.

Chrószcz powiódł okiem po zwłokach żandarma i zdało mu się, że wszystko to było snem, że jakaś potęga najwyższa kierowała nim i kulą.

Lecz zato mu przyjdzie odpowiedzieć przed wrogami.

Przetarł dłonią czoło, westchnął do Boga głęboko, jakby mówiąc:

— Panie, Ty czytasz w mej duszy!... Przeżegnał się nabożnie, pełen ufności w Boga, dla którego ani myśli ani pobudki czynów ludzkich nie są tajemnicą, poczem pochwycił szybko dubeltówkę i uszedł.

Znaleziono go potem bez ducha — sam się zastrzelił. Chrószcz spoczywał we krwi bez ruchu. Męczennik śląski...

Cisza była wokoło. Jenó pies jego buri przyczolgał się do zwłok pana swego powoli, przysiadł i zawył żałośnie...

*

»

Chrószczu, Ślązaku nasz nieszczęsny! Twój pies nie jest jedynem na ziemi stworzeniem, co z bólem i żalem śmierć twoją przyjęło. Każdy Twój ziomek, co polskie serce ma w piersi, wspomni dziś Ciebie ze łzą w oku, skoro się dowie, jak to król pruski nagrodił Ci za wierną służbę! Tyś mu służył, a on wydał Cię na pastwę pruskiego „prawa“ przeciwko Polakom ukutego. Tyś uiał Prusakowi, a on zdradził Cię i ukąsił jak żmija. Ty, prawy Ślązaku nasz, stałeś się ofiarą podłego plemienia Prusaków! Tyś męczennikiem śląskim!

Dziś, gdy Bóg skruszył piekielne moce pruskie i pękły kajdany niewoli polskiej, gdy Bóg pokarał bezmiar nieprawości pruskiej i obalił tron herszta hakatystów a my możemy nareszcie swobodnie czuć i myśleć głośno — opowieść dziejów Twoich niesiemy nad Odrę ludowi śląskiemu, w tem przekonaniu, że on pamięć Twoją uczci i należycie i wyciągnie z Twych przeżyć naukę. Bo Ty, gospodarzu nieszczęsny, jesteś przestrogą dla dzisiejszych i przyszłych pokoleń przed wszelkiem z Prusa-

kami braterstwem, bo duch Twój z poza grobu
woła na cały Górny Śląsk: Wara od hakaty-
stów, od Prusaków!

Niechaj na zapomnianą Twoją mogiłę
padną od całej Polski kwiaty żalu. Niechaj pa-
mięć o Tobie otwiera oczy ślepym na plenię
pruskie i niechaj żyje po wsze wieki na śląskiej
ziemi!

W długie wieczory zimowe, gdy synowie
i wnuki zbiorą się przy krześle dziadunia si-
wego, niechaj on mówi im o rządach pruskich
nad Odrą i opowie historję, jak to król pruski
nagrodził za służbę Ślązakowi!



079383



Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna

Im. E. Smolki w Opolu

ni inv. :

9210 S

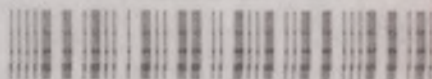
Syg. :

9210 S

„Zbiory Śląskie”

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

9210 S



001-009210-00-0